



Arkadiusz Kopański  
Kraków, 2025

# Mój Jedwabny Szlak

## - część 2



Fot.1. Wspólne zdjęcie w domu sifu Alexa, czwarty od lewej Natomiast pierwszy od lewej jest jego uczeń Nick Leung. Ponad głowami osobista kaligrafia mistrza Chu Shong Tin'a, wręczana uczniom którzy poznali cały system.

Tradycyjne szkoły w naturalny dla każdej ludzkiej wspólnoty sposób opierają się na mocnych relacjach. Moim zdaniem nie da się zresztą nauczyć kung fu inaczej niż na sposób konfucjański, zakładający od początku specjalne, osobiste więzi. To zdanie wyrabiałem sobie pracując podczas kolejnych pobytów w Hongkongu, ponieważ wcześniejsze moje doświadczenia były zgoła odmiennej natury: po prostu naśladowało się poprzez wielokrotne powtórzenia ruchy instruktora. Im bardziej udana kopia, tym większe umiejętności w sztukach walki. Od początku nauki u sifu Ma Kee Faia byłem z tego mniemania bezpardonowo wyprowadzany. Sifu Ma nie pokazywał mi żadnych ruchów, gdyż z jego punktu widzenia praca nad mną była stratą czasu. Arogancki, wyrośnięty typ, który do znudzenia próbuje z każdym „lepkich rąk”, nie mając nawet pojęcia jak to ćwiczenie prawidłowo wykonywać - tak musiałem się wówczas prezentować nie tylko jemu. Sympatii sifu Ma sobie nie zaskarbiłem.

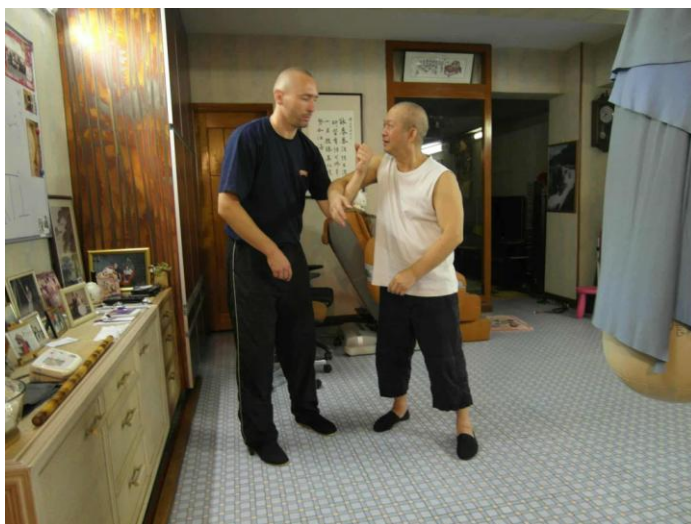
Wysiłki zrozumienia rozbijały się o podwójny mur: nienawykłego do specyficznej praktyki ciała oraz otaczających ludzi, którym moja determinacja prędzej przywodziła na myśl problemy z opanowaniem agresji, niż coś, co mogliby zaakceptować jako ochotę do nauki. Pamiętam jak raz John Kaufman z radością zapowiedział mi, że następnego dnia weźmiemy udział w specjalnym,

„dachowym” mityngu organizowanym w starym hongkońskim stylu. Późnymi wieczorami dachy wysokich miejskich budynków, przewiewane nadmorską bryzą i skąpo podświetlane, były doskonałym miejscem do praktyki, w dodatku uruchamiającym żywioną klasycznymi filmami kung fu wyobraźnię. Ta ekscytacja nie trwała jednak zbyt długo. Ku rozgoryczeniu Johna ludzie ze szkoły Chu Shong Tina nie wyrazili zgody na moją obecność. Nic nie dały zapewnienia, że w gruncie rzeczy dobry ze mnie chłopak, już dłuższą chwilę przecież trenuję i że za mnie ręczy. Byli nieugięci. Akceptacja na zajęciach w Ving Tsun Athletic Association - oto maksimum, na jakie mogłem liczyć.

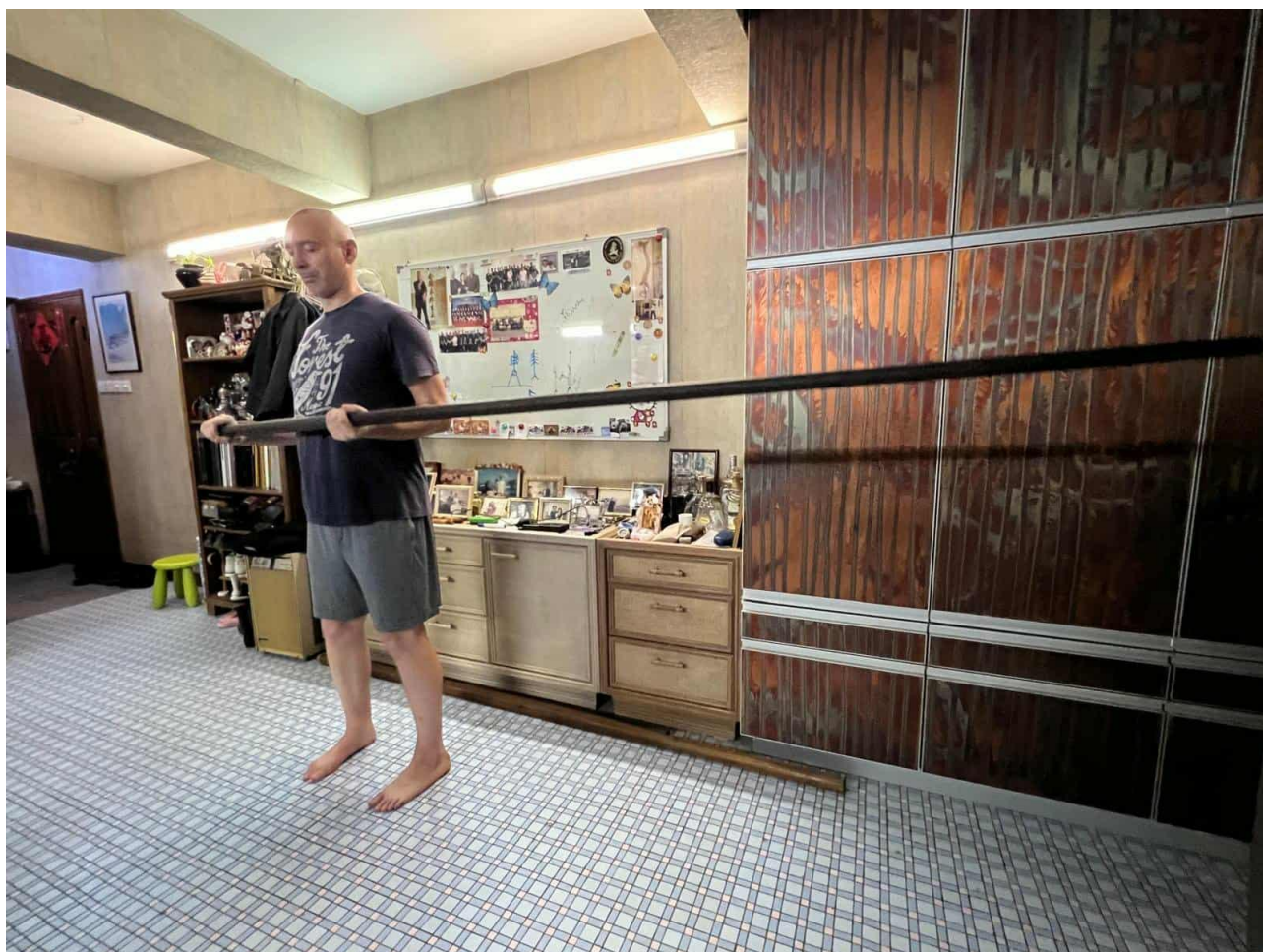
Jakiż sens miałyby inna reakcja niż zaciśnięcie zębów? Niż dalsze stanie w rogu sali i wbijanie obolałych barków w dół pleców? Nie jestem tutaj nikim nadzwyczajnym - mówiłem sobie - potrzebuję więcej wytrwałości. Wytrwałości oraz czasu. Lecz zawiedziony byłem okrutnie.

Dlaczego zatem Sifu Alex podszedł do mnie wtedy i wręczył mi kartkę z adresem swego mieszkania? Mam jakieś domysły, lecz w gruncie rzeczy - nie wiem. Może jeszcze kiedyś go o to zapytam. A może nie jest to specjalnie istotne. Złitował się człowiek i tyle.

Ważne, że umówionego dnia i godziny ruszyłem z ową kartką w miasto, jak zwykle zaliczywszy serię kompromitacji. Numeracja ulic w Hongkongu, szczególnie w starych dzielnicach Kowloonu, gdzie mieszka Sifu Alex, to osobne i dowcipne zagadnienie. Google Maps można tu sobie włożyć tam, gdzie Trybunę Robotniczą sprzed półwiecza, a ja wówczas nie miałem w telefonie nawet internetu. Miejsc, które pasowały do podanego adresu znalazłem bodaj trzy. W pierwszym zirytowany moim upartym pukaniem do drzwi mężczyzna opierniczył mnie szczerliwie po kantońsku. W drugim przerwałem gwałtowną kłótnię pewnej pani oraz pewnego pana, przez co wywnioskowałem, że



*Fot.2-4. Autor i sifu Alex w trakcie treningu. Na środkowym zdjęciu tablica z rysunkami, którymi sifu objaśniał pracę stawów biodrowych oraz barkowych w oparciu o ekspandujący kręgosłup. Zaznaczają kierunki rotacji, sił itd.*



*Fot.5. Nauka techniki długiej tyczki Luk Dim Boon Kwun. Hong Kong, wrzesień 2025 r.*

Sifu Alexa raczej tutaj nie znajdę, zaś trzecie miejsce było jakimś biurem, z którego rozbawiony rozmachem moich poszukiwań oficiel w garniturze zadzwonił do Sifu Alexa, aby mu o nich ze śmiechem opowiedzieć. Wreszcie Sifu wyszedł z mieszkania, znalazł mnie i pokazał palcem gdzie mieszka; wcześniej nawet koło tego miejsca nie przechodziłem ...

No i stało się! Ziściło się moje marzenie: byłem w tradycyjnej domowej szkole Wing Chun, w dodatku w Hongkongu! I to nie na zasadzie natręta, za jakiego stopniowo zaczynałem się uważać. Czy ledwo tolerowanego dziwadła. Dobrze pamiętam mój ówczesny zachwyt. Zawieszony na suficie ciężki, szorstki, wypełniony twardym śrutem worek boksinowy, który na gołenias Sifu podskakiwał niczym gumowa piłka. W życiu podobnego nie widziałem. Oczywiście Drewniany Manekin, naścienne worek do treningu uderzeń, leżące obok szafy specyficznie długie, drewniane kije, miecze motylkowe, a w centralnym miejscu ściany - własnoręcznie napisana przez Chu Shong Tina kaligrafia, jakiej posiadaniem może się na świecie pochwalić bardzo niewielu ludzi. Kaligrafia informująca, iż jej właściciel poznał cały, kompletny system Wing Chun. Obok kaligrafii ujrzałem ekran telewizora emitującego wielce zajmujący chiński serial, a przed nim żonę Sifu Alexa, imieniem Kitty, która nie spuszczać oczu z ekranu wykonywała równoczesne ciosy i kopnięcia. Robiła to z niewymuszonością kobiety zajmującej się szydełkowaniem: nie dało się w jej ruchach wypatrzyć śladu wysiłku. Po powrocie do hotelu spróbowałem tego ćwiczenia, a jakże! Zrobiłem dwieście powtórzeń, zajęło to sześć minut, a następnie omdlały mi kończyny. Grandmaster Kitty wykonywała ćwiczenie przez cały czas trwania serialu - równą godzinę ...

Dom był niezwykle, skupiający niczym w soczewce cechy całego miasta, łączącego w niepowtarzalnie bałaganiarskim stylu światy wschodu i zachodu. Grał telewizor, czekał pies Jacky,

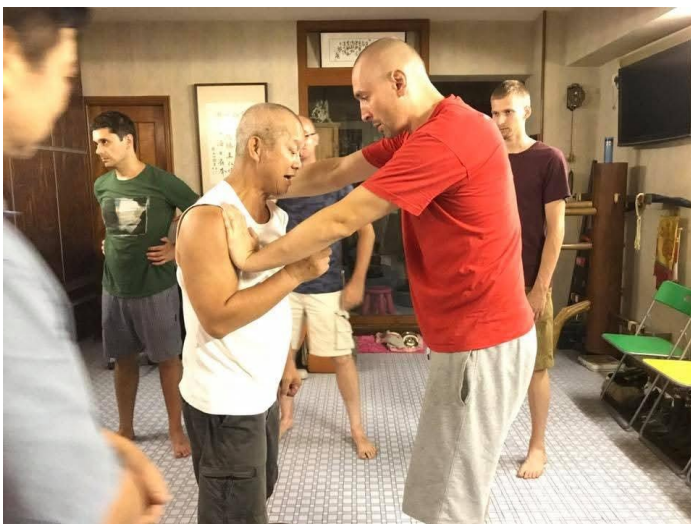
przychodzili i wychodzili ludzie, ćwiczyło się, dużo żartowało - to ja wymyśliłem tytułowanie Kitty mianem Grandmaster - pilnie słuchało, jadło, czasem coś rozumiało - lecz nade wszystko ćwiczyło. Przychodziłem zawsze przed 19.00, maszerując trasą, którą teraz mogę pokonać o dowolnej porze dnia lub nocy z zamkniętymi oczami, żeby zostać nieraz do 23.00, tak pochłonięty bywałem praktyką.

Jak owa praktyka wyglądała? Przede wszystkim praca nad strukturą. Sifu żywił swego rodzaju obsesję dotyczącą tzw. „centrum”. To w ogóle w chińskich sztukach walki kapitalne zagadnienie. Grandmaster Kitty wielokrotnie, pukając się w głowę mówiła mi: - To szalony człowiek. Budzi się o drugiej w nocy i biegnie do Manekina, bo coś mu nagle przyszło do głowy!

Najpierw więc Sifu za pomocą markera szkicował techniczny rysunek ilustrujący niuanse zagadnienia - „Chinese Picasso”, tak go w tych chwilach nazywałem - aby później przenieść ideę zawartą w rysunku na swoje ciało, które skwapliwie badałem, wyczuwając dłońmi źródła i kierunki siły. To były lekcje praktycznej anatomii, ponieważ nie operowaliśmy fachowymi terminami; poszczególne odcinki kręgosłupa Sifu zaczynały się poruszać jakby niezależnie od mięśni, podążały ku górze, zmieniały ciało w rodzaj mechanizmu o zupełnie innych parametrach mocy. Pozostaję tym procesem nieustannie zdumiony, pomimo iż upłynęło od owej chwili piętnaście lat.

Pierwszym krokiem do pracy nad kręgosłupem jest głęboki relaks, rozluźnienie wszystkiego, co w sobie zawieramy, a co skutecznie utrudnia nam dotarcie do układu kostnego. Z tym miałem i mam problem największy: ciało tresowane do wysiłku na sposób zachodni, nabiera mięśniowych nawyków, których wyplenienie zabiera więcej czasu niż nauka całego systemu. Ileż Sifu Alex się namordował, usiłując wpoić moim durnym aktonom właściwe zachowanie przy kontakcie z byle dotykiem. O większym nacisku nawet nie mówiąc. Uparcie powracałem do nabytych przez lata treningu przyzwyczajeń, wystawiając jego cierpliwość na próbę.

Nigdy się zresztą nawet nie zirytował. Co najwyżej żartował z mojej permanentnej „napinki”. Pierwsza i bodaj najważniejsza lekcja Wing Chun jaką odebrałem, mówiła: praktyka nie kończy się wraz z treningiem. Czy maszerujesz nad Zatokę, aby podziwiać majestatycznie iluminowane Central Hongkong na wyspie, czy stoisz, leżysz, zajadasz się tutejszymi frykasami, rozmawiasz - nigdy nie zapominaj o rozluźnieniu; od rozluźnienia zaczynasz dzień i na nim dzień kończysz. Może to potrwać lat pięć, sześć lub dziesięć. Może potrwać i dwadzieścia, a może być i tak, że nigdy nie uda ci się wystarczająco rozluźnić, by precyzyjnie wyczuć ten cholerny kręgosłup. Bo Wing Chun jest sztuką i jak każda ze sztuk wymaga całkowitego poświęcenia, niczego w zamian



*Fot.6-7. U góry sifu naucza mnie rotacji ciała na przykładzie formy Chum Kiu. Próbuje powstrzymać ruch, a sifu tłumaczy dlaczego przy jego poprawnym wykonaniu techniki jest to niemożliwe. Poniżej wspólne zdjęcie z Grandmaster Kitty*

nie obiecując. Sifu Alex największy progres poczuł w wieku lat siedemdziesięciu. „Moje rozumienie - powiadał mi to z całkowitym spokojem - nigdy nie było większe niż obecnie. Ale potrzebowałem na to naprawdę wiele czasu. Innej drogi nie ma.”